

Takie tango takiej pary

Anna Dymna ✓

Bale są dzisiaj bogate, zimne i puste...

Sylwester jest niezwykłym dniem i mam do niego specjalny stosunek. Jest końcem i początkiem jakiegoś etapu - budzi we mnie zadumę i refleksję nad upływającym czasem. To moment rozliczenia.

Nie lubię chodzić na bale. Potrzebę szaleństwa i hucznych zabaw mam już za sobą. Pamiętam, że przed laty z Wiesiem Dymnym chodziliśmy na Sylwestra do „Piwnicy pod Baranami”, stamtąd ruszaliśmy w miasto - odwiedzaliśmy wszystkie kluby studenckie i wesole miejsca. Mieliliśmy ze sobą pół litra wódki, albo „jednego” szampana, na którego trzeba było zbierać pieniądze na długو wcześniej. Mama Wieska zawsze podsyłała nam wstrętą baranię w słoikach twierdząc, że jak zjemy ją przed zabawą, to z pewnością się nie upijemy. Wspomnia-



niale Sylwestry były także w SPATIFIE, gdzie spotykali się aktorzy. No właśnie - były. Kiedyś życie towarzyskie polegało na czymś innym! Dzisiejsze rauty są zimne, bogate i puste. Najwspanialsze „bale” odbywały się także u mnie, na strychu. Miałam tak zwany „dom otwarty” i właściwie każdy gość był mile widziany. Boże, jakie tam były zabawy!

Bardzo lubię spędzać Sylwestra w górach - na tonie przyrody - bliżej nieba! Siedzę sobie przy ognisku w towarzystwie sprawdzonych przyjaciół: niczego nie udaję, nie muszę się

wysilać na błyskotliwe rozmowy o sztuce. I to są najukochańsze „bale”. Bo na prawdziwych balach jest tak, że zamiast znakomitej zabawy czuję, że jestem lustrowana (jestem przecież publiczną osobą) - czy przytyłam, czy mam nową sukienkę, dobry makijaż. Kiedyś postanowiłam jednak normalnie poszaleć. Poszłam na zwykłego Sylwestra - gdzie, jak sądziłam, nikt mnie nie zna. Efekt był taki, że do godziny czwartej rano tańczyłam z koleżanką (mąż nie miał już siły). A nikt spośród tych

wspaniałych nieznanomych nie poprosił mnie do tańca! Dopiero gdzieś nad ranem kompletnie pijany facet podszedł do mnie i powiedział bełkotliwie: „Czy mogę prosić - założyłem się z kolegą”. Mówię więc: „Pahie, dlaczego nie wcześniej?”, on na to... „wstydzilem się”. Sam pan widzi, jakie są te moje bale.

A tak naprawdę Sylwester jest dla mnie dniem skupienia. Nie pasują mi do tego wieczoru ani bal, ani obce środowisko, ani strojenie się. Bal jest właściwie ostat-

nią rzeczą, której oczekuję. Bo przecież znam bale. Co roku wręczam tytuł „Krakowianina Roku” (jestem członkiem kapituły) na balu Królewskiego Miasta Krakowa. Dwutysięczny rok przywitam zaś w Teatrze Słowackiego, gdzie odbywał się będzie wielki bal otwierający nowe tysiąclecie. A ponieważ mój mąż, Krzysztof Orzechowski, jest gospodarzem teatru - nie mogę go zawieść - powinienam być u jego boku. I będę... A podumać w góry pojedziemy później.

Jerzy Stuhr

Pierwszy wodzirej PRL

Kiedyś byłem nazywany „pierwszym wodzirejem PRL-u” i poniekąd stało się to moim utrapieniem. W młodości zarabiałem na życie będąc wodzirejem na balach. Sylwestrowa noc była dla mnie nocą największych apanaży i wyteżonej pracy. Od tamtego czasu pozostał mi uraz do zabawy sylwestrowej. W ten sposób zarabiałem bowiem na życie w trakcie studiów. Dzisiaj młodzi aktorzy dorabiają sobie w reklamach, my musimy inaczej „kombinować”. Pracując w krakowskiej „Estradzie” obsługiwałem siedem, czy osiem lokali w ciągu nocy. Taksówka woziła mnie z jednej zabawy, na drugą. Gdzieś poprowadziłem kotyliona, gdzieś indziej finałowy bal, albo poloneza. Później zagrałem „Wodzireja” w słynnym filmie Feliksa Falka. Moje doświadczenia (o których Flak nie wiedział) zostały więc spożytkowane artystycznie, ale niechęć pozostała do dzisiaj.

Doceniam magię chwili przejścia w Nowy Rok, ale chcę przeżywać ją z najbliższymi, z rodziną. Coraz gorzej znoszę tłumy. Czasami spędzam Sylwestra wśród górali, co jest miłym akcentem. Niesłychanie sympatycznie wspominam też jedną zabawę sylwestrową sprzed lat. To było w Trieście. Pracowałem tam w teatrze i na Nowy Rok przyjechała do mnie rodzina: żona z synem Maciejem. Pamiętam tamtą noc sylwestrową niesłychanie dokładnie. Na wielkim placu w Trieście bawiliśmy się z Włochami do wczesnych godzin rannych, syn o trzeciej rano grał w siatkówkę ze swoimi rówieśnikami wśród sztucznych ogni, a przed nami lśnił Adriatyk - niezapomniane przeżycie, był to



pewnie jeden z najwspanialszych „bali”, w których uczestniczyłem.

Bardzo dobrze pamiętam też „zabawę” sprzed kilku lat. Córka pojechała na obóz narciarski, syn bawił się ze swoim kabaretem, a my z żoną pojechaliśmy do Słowacji, na narty. Jadąc zapewniałem małżonkę, że w drodze powrotnej w jakimś ekskluzywnym lokalu zjemy wytworną kolację, potem zaś powolutku wrócimy na dwunastą samochodem. Niestety, wszystkie lokale (nie tylko ekskluzywne) były pozamykane. Chcieliśmy uczcić Sylwestra drogiem szampanem, a nie można było nawet napić się zwyczajnej herbaty!

Potwornie głodni, zziębnięci (był siarczysty mróz), w sylwestrową noc, wróciliśmy do naszego domu koło Rabki, gdzie błyskawicznie zrobiłem najprostszy makaron z pomidorami. I w ten sposób - z butelką wina - spędziliśmy ten wieczór z żoną, we dwójkę.

Oczywiście, cały czas dostają stopy zaproszeń na rozmaite rauty. Z założenia nigdy ich nie przyjmuję, bo z góry wiadomo jaką rolę mam tam przypisaną. Każdy chce się ze mną pokazać, sfotografować, napić... - a to o pewnej porze zaczyna być męczące.

Syn namawia mnie, żeby 2000 rok uczcić wspólną eskapadą w góry, gdzie rozpalilibyśmy wspólnie ognisko. Mówię więc: „To niemożliwe, przecież będzie śnieg”, na co Maciek odpowiada mi, że zna z harcerstwa sposoby na ognisko w zimie. Zobaczymy. Na pewno w tym roku przyjedzie do nas rodzina, co już mnie cieszy. Przecież cały rok jestem poza domem, tak więc największym świętem jest dla mnie spotkanie z najbliższymi. Żona bardzo pilnuje, żeby cała rodzina była zjednoczona w tym ważnym momencie, jakim będzie pewnie Sylwester 2000.

WYSLUCHAŁ ŁUKASZ MACIEJEWSKI